

ROK IV.
Kraków, dnia 27 Lutego 1910 r.
Nr. 9.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**
Numer pojedynczy 10 halerzy.

Święta Kinga.

Świętej Kingi, inaczej św. Kunegundy, przypada 3 marca. Ponieważ była ona żoną króla polskiego, ponieważ żyła i chodziła po tej naszej polskiej ziemi, po której my chodzimy, chcemy dziś kilka słów o niej powiedzieć.

Święta Kinga była córką króla węgierskiego Beli. Kiedy została żoną Bolesława Wstydliwego i odjechać miała do Krakowa, ojciec jej rzekł:

— Co pragniesz zabrać z sobą, moja córko? Powiedz, a będzie twojem, czegokolwiek odemnie zażądasz.

— Ojcze — rzekła królewna — daruj mi górę soli; oto lud, który jej nie ma.

— Wybierz, którą chcesz zabrać — odrzekł Bela.

Kinga poszła na miejsce, gdzie dobywano sól z ziemi i wrzuciła swój pierścień do kopalni na znak, że tę chce zabrać z sobą. Po przybyciu do Krakowa powiedziała:

— Dostałam od ojca górę soli, trzeba jej szukać w ziemi.

I rozpoczęły się poszukiwania. Sprowadzono z Węgier najlepszych górników, kopano i badano ziemię w różnych miejscach, aż natrafiono na pokłady soli koło miasteczek Bochni i Wieliczki.

Kinga uszczęśliwiona była tem odkryciem, odwiedzała często kopalnię i z zajęciem przypatrywała się pracy górników.

Podobno pewnego razu, właśnie w jej obecności, górnik z niemałym trudem oddzielił bryłę od skalistej ściany, a gdy uderzył ją młotem, aby pokruszyć na mniejsze kawałki, błysnął wewnątrz pierścień królewny, który niegdyś wrzuciła do kopalni w Węgrzech.

— Cud! — zawołali wszyscy na ten widok i wraz z Kingą upadli na kolana, dziękując Bogu za ten widoczny znak łaski.

Tak mówi podanie, a prawdą jest niezaprzeczoną, że za panowania księcia Bolesława i prawdopodobnie dzięki staraniom Kingi, sól została w naszym kraju znaleziona i stanowiła odtąd niewyczerpane bogactwo, które przeszło od 600 lat dobywają z Wieliczki, należącej do największych kopalń w Europie.

Wiele legend łączy się z postacią Kingi, którą za życia uznano za świętą, przypisując jej liczne cuda.

I dziwić się nie można; życie królowej Kingi było wzorem pobożności i chrześcijańskiego miłosierdzia.

Wczesnym rankiem, w ciemnej odzieży, z jedną często powiernicą, spieszyła do kościoła, aby gorącą modlitwą powitać Pana nad Pany.

Następnie szła na miasto; odwiedzała chorych, wspierała ubogich, pocieszała nieszczęśliwych, leczyła nawet takich, do których nikt zbliżyć się nie śmiał, z powodu panującej wówczas strasznej i zaraźliwej choroby, zwanej trądem. Kinga się ich nie obawiała; legenda mówi, iż uzdrawiała trędowatych pocałunkiem.

Po powrocie do zamku zajmowała się pracą. Szyła odzież dla sierót i ubogich, haftowała i wyszywała dla kościołów ornaty, kapy, kobierce, chorągwie — wychowywała ubogie dziewczęta i nikomu nie odmawiała pomocy, kto się do niej odwołał.

W jedzeniu bardzo skromna, mięsa prawie nie używała, obchodząc się najprostszemi potrawami.

Wieść o Tatarach zastała ją z Bolesławem w Sandomierzu. Uchodząc przed zbliżającem się niebezpieczeństwem, szukali najpierw schronienia w Krakowie, a następnie uszli do Węgier, uprowadzając — jak mówi podanie — ubogą ludność, która ukryć się pragnęła. Kinga osłania zbiegów od pogoni cudami; z jej przepaski rozlewa się nagle Dunajec, z jej pielgrzymiej laski wyrasta puszcza nieprzebyta, wreszcie gdy złotą rzuciła koronę, Tatry stanęły przed najezdnikami, kryjąc uciekających.

Po śmierci męża Kinga wstąpiła do klasztoru w Starym Sączu i tam spędziła resztę życia na modlitwie, pracy i dobrych uczynkach. Spełniała sama najniższe posługi: nosiła drzewo, myła kuchenne naczynia, podłogi, pielęgnowała chorych, leczyła, uzdrawiała, pocieszała. Nie dbając dla siebie o ziemskie życie i wygody, każdą chwilę i wszystkie siły poświęcała dla dobra bliźnich.

Niekiedy opuszczała jednak to schronienie, przebywając w górskim klasztorze w Pieninach; inne podanie łączy jej imię z Grodziskiem, uroczą samotnią w pobliżu Ojcowa, gdzie przełożoną klasztoru była św. Salomea, siostra Bolesława Wstydliwego.

Krzyżacy na Litwie.

XII. WĘDROWIEC.

Wszebor przybywa w nocy. — Pod posągiem Perkuna. — Skarb w pace. — Straszna wieść. — „Męstwo i nadzieja!" — Rozmowa o królowej Jadwidze. — Trojdan nie jest Litwinem. Okrutny zwierzchnik. — Po co przybył Trojdan?

W kilka dni, gdy z kolei znowu Trojdan czynił służbę z Jawnutem, nakrzątawszy się z nim dosyć, po dziennych trudach dozwolił mu odpocząć, a wziąwszy na siebie czuwanie nad Zniczem, siadł koło ołtarza i w smętne pogrążył się dumania. Noc już była w połowie, nikt nie odwiedzał świątyni, a ogień gorzał spokojnym płomieniem. Wtem śród ciszenia usłyszał, że ktoś wszedł przez drzwi i do ołtarza zbliżał się ostrożnie. — Kto tam? — zawołał Trojdan. Odpowiedź: — „Ja, twój ojciec" — dała mu poznać przybywającego z domu Wszebora. Poskoczył ku niemu uradowany młodzieniec i uściskawszy serdecznie, pytał o nowiny.

— Czy jesteśmy tu sami? — zapytał starzec, schylony pod ciężarem obszernej paki, którą dźwigał pod płaszczem na plecach. — Mam ci ważnych rzeczy udzielić.

— Drzemie tam w kącie mój towarzysz, ale choćby słyszał, nie trzeba go się lękać, to mój przyjaciel. Mów mi naprzód, jak się ma mój ojciec kochany.

— Żyje. Ale chodźmy lepiej na dziedziniec. Nawet tych ścian się boję. Na otwartem powietrzu bezpieczniejsi będziemy.

Usłuchał Trojdan i wyszedł z nim spiesznie ze świątyni. Jawnut, do czujności przywykły, nie spał tak twardo, żeby nie słyszał wejścia Wszebora; owszem, widział go dobrze i poznał w nim zaraz starca, który niedawno, jako ojciec Trojdana, wprowadził go w mury świątyni. Ciekawy tedy dowiedzieć się, o czem będą mówić, postąpił za nimi pomału i niepostrzeżony u drzwi stanąwszy, nadstawiał ucha z pilnością. Noc była cicha, wszystko snem złożone spoczywało spokojnie, a księżyc w pełni tak jasno przyświecał, że o kilkadziesiąt kroków i dalej należycie można było rozpoznać przedmioty. Usiedli obaj na stopniach Perkuna, który od drzwi świątyni stał tylko o kilka kroków i łatwego dozwalał Jawnucie słyszenia mówiących. Drżący i niespokojny Trojdan czekał na otwarcie ust starca, który z bojaźnią poglądając na kolosalny posąg, tak się odezwał:

— Wyznaję, że wolałbym się schronić gdzieindziej, niż na tych stopniach rozmawiać, bo mi się bardzo ten świadek kamienny ze swemi wyszczerzonemi oczyma nie podoba.

— Zaręczam ci — odpowiedział Trojdan — że ten bóg tak jest do sekretu dobry, jak żaden pewnie z waszych panów radnych. Prócz tego, ja oddalać się nie mogę, bo dziś ołtarza pilnuję. Ale powiadaj, cóż ni przynosisz?

— Odbierzże naprzód ten skarb twój drogi, o który byłeś tak troskliwy — mówił starzec, zdejmując z pleców swych pakę, która się być dosyć lekką zdawała na swoją objętość. — Póki tego gościa miałem w mym domu, chociaż był dobrze ukryty, nie mogłem być ani na chwilę spokojny i o tem tylko myślałem, żebym się go pozbył czemprędzej. Sam mi przyznasz, że nie było wcale z czem żartować. Gdyby się twój ojciec o nim dowiedział, wiesz dobrze, coby z tego wynikło: po nitce do kłębka dochodzą. Ale też, gdybym był wiedział, ile to licho kłopotu mi w drodze nabawi, żebyś mnie złotem obsypał, nigdybym się nie podjął dźwigać go mil tyle. Patrz, nieuważny młodzieńcze, na jak wielkie niebezpieczeństwa narażał mnie płochy twój upór! Pomyśl tylko sobie, gdyby mi w drodze naprzykład chciał kto zajrzeć w to pudło, coby się to mogło stać ze mną? Pewnieby mnie na pierwszej gałęzi powiesił i jeszczeby się chlubił z dzieła swojego.

— O! dzięki ci, dzięki, drogi przyjacielu! — odbierając pakę, mówił pełen radości młodzieniec. — Twoja przysługa nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci.

— Nieprędko ona wyjdzie i z mojej — biorąc się za plecy, odpowiedział starzec. — Prawdziwie już nie raz chiałem w pierwszej rzece ją utopić, tak mi się dała we znaki. Poczekaj, może jeszcze kiedyś będziesz żałował, żem nie uczynił tego.

— Nigdy! nigdy, kochany Wszeborze! Ale, czyż się godzi z taką lekkością mówić o tem, co twój przyjaciel tak wysoko ceni? Teraz mi powiedz, kiedyś wyszedł z domu?

— Już więcej miesiąca. — Zapewne się dziwisz, żem tak długo był w drodze? Do licha! wszak to będzie sto mil opętanych, a ja musiałem kołować. Wyszedłem z Kazimierza, jak na nieszczęście, pod tę porę właśnie, kiedy wszystkie gościńce napełnione były rojami podróżnych. Każdy z ciekawością na moją pakę pozierał, ja drżałem, mijając kogokolwiek; musiałem tedy manowcami się przedzierać i szedłem nocą najwięcej. Ale to gorzej, że tu przychodzę przysłany od ojca twego.

— Czy być może? — rzekł struchlały młodzieniec. — Mój ojciec wie, gdzie się znajduję? Któż mu tej wiadomości udzielił?

— Zaraz ci mówiłem, iż niepodobna, żeby długo mogło to być ukryte. Kto ci tę przysługę uczynił, nie mogłem się dowiedzieć. Kiedyś ty, pełen żałości, dom ojca opuścił, on zawsze przekonany, żeś się do wojska zaciągnął, nie przestawał dopytywać się o ciebie, ale go nikt nie mógł zaspokoić. Już nieszczęśliwy starzec myślał, żeś poległ broniąc ojczyzny, gdy dnia jednego, wróciwszy z drogi, wezwał mię na zamek, i z rozpaczą uwiadamiając, że cię widziano między ofiarnikami świątyni w Wilnie, kazał mi niezwłocznie tu się wybierać, i nie inaczej wracać, jak tylko razem.

— Z jakiejże to drogi wtenczas powracał?

— Tego z pewnością powiedzieć nie mogę.

Tu Wszebor zaczął mówić tak cicho, że go Jawnut żadnym sposobem nie mógł dosłyszeć.

— To rzecz jasna — rzekł przerażony Trojdan. — Tam się o wszystkiem dowiedział. Co za traf nieszczęsny! Nie wiesz-że sposobu, jakby można tę wieść odwołać?

— Nie widzę żadnego. — Trudno wyrazić, jak wielką żałością ta wiadomość serce jego przejęła. Gdybyś żyć przestał, śmierć twoja możeby go nie tyle strapiła. Radzę ci, wracaj do domu, jeśli nie chcesz stracić ojca i majątku. Kazał powiedzieć, że już skłonności twojej przymuszać nie będzie; lecz, jeśli nie wrócisz, wydziedziczy cię niechybnie. Wiesz, że *oni* wszystko czynić gotowi, żeby serce ojcowskie wieczną ku tobie przejąć nienawiścią; może i dokażą, że postanowi którego z twoich nieprzyjaciół panem fortuny, która się tobie należy! Zdrowie jego jest w najgorszym stanie; śmierć, nagle przyspieszona zmartwieniem, może wszelkie twoje przeciąć nadzieje. I cóż ci wtenczas po tej chwale, po tych oklaskach, jeśli zostaniesz bez

sposobu do życia? Młodzieńcze! zlituj się nad sobą, wracaj, wracaj natychmiast.

— Ach! Wszeborze, mniejsza o majątek, niech nim podług upodobania rozrządza ojciec, byleby dla mnie nie cierpiał, bylebym ja dni jego nie skracał! Słuchaj! Kocham ojca nad życie, lecz z pół drogi jakże mam powracać?

— Długoż wreszcie będzie tego wygnania? Zważ tylko w jak okropną wplątałeś mię posługę! Zdradzam ojca swojego, dobrego pana, któremum wszystko winien; ciebie na najniebezpieczniejszą narażam przyszłość. On mi nie kazał wracać bez ciebie, on jeśli się dowie, żem ja cię tu zawiódł, zemście mnie swojej poświęci.

— Nie lękaj się. — O tem się tak łatwo dowiedzieć nie może, a choćby się i dowiedział, tak jest dobry, że nie zechce być mściwym. Słuchaj: *męztwo i nadzieja*! Los sprzyjać zaczyna moim zamiarom. — Młodzież, poświęcona usłudze Znicza, po większej części jednym już ze mną tchnie duchem. Lud mnie czci, powierza się, a wszystko najgłębsza nieświadomość kryje.

Dalej mówił tak przyciszonym głosem, że Jawnut, mimo największego natężenia uwagi, mógł słyszeć tylko próżny słów odgłos.

— Taką rzeczą — odezwał się starzec — nie przeczę, że ci ojciec odda z czasem sprawiedliwość. lecz jak go teraz zaspokoić?

— Powiedz, żeś był w świątyni, żeś poznał wszystkie sługi Znicza i między nimi znalazłeś jednego Litwina, który na pierwsze wejrzenie jest do mnie podobny, że się łatwo można omylić. Zresztą, dla zostawienia mu nadziei, możesz utrzymywać, że wieść chodzi, jakobym był w liczbie jeńców wojennych; lecz żeś nie mógł dowiedzieć się w którym z zamków jestem osadzony.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Wszebor — jest to niezły sposób; lecz czemużbym nie miał prawdy powiedzieć, kiedy tak szczęśliwie idą twoje starania?

— Tego, mój przyjacielu, strzeż się najbardziej! zgubiłbyś mnie i ojca mego niechybnie. On co mnie ma jednego i tak mocno kocha, jak tylkoby się dowiedział, że się tu znajduję i powrócić się wzbraniam, chcąc mnie wydobyć najprędzej, zgłosiłby się do Jagiełły. Wiadomość ta, skoroby tylko doszła Jerbuta, jużbym więcej nie wyszedł z tych murów, a dobry mój ojciec porywczość swoją pewnieby życiem przypłacił.

— Słuszna uwaga.—Więc tedy mam go tylko utrzymywać w nadziei? Ale się boję, żeby mi znowu kto z boku nie popsuł szyków.

— *Nadzieja i męztwo!* mój Wszeborze. Teraz mi powiedz, co mię najbardziej i dręczy i najsłodszą napawa rozkoszą.

Potem zaczął tak cicho i razem tak prędko mówić, iż go żadnym sposobem zrozumieć nie można było. Nie mówił, lecz zdał się uskarżać. Czasem wpadał w zapał i za czoło się chwytając, ukazywał przy świetle księżyca oczy łzami błyszczące; czasem też uradowany wołał z chlubą zwycięzcy, wiodąc ręką po szerokiej przestrzeni. Starzec, nie spuszczając go z oka, słuchał przejęty podziwem i uszanowaniem.

Poglądał i Jawnut z za drzwi świątyni, równem prawie przeniknięty uczuciem; lecz mimo największej uwagi, mógł dosłyszeć tylko niektóre słowa, które niekiedy wydał głos pod niesiony Trojdana.

— Uspokój się młodzieńcze! — mówił starzec łagodnie. Patrz! ja się lękać zaczynam, żeby ten bóg twój kamienny nie miał uszu ludzkich; co zaś do ludzi, nie masz się czego ich lękać. Wiesz, iż świetność jej rodu tak ją trzyma wysoko, że cień najmniejszy potwarzy nie może jej dosięgnąć. Zresztą świat w tej dobie jest ważniejszemi rzeczami zajęty.

— Tyś był daleko, kiedy niebo, kładąc koniec nieszczęściom Polski, zesłało w Jadwidze pocieszycielkę tej ziemi. Zapomnieli Polacy złych rządów niewieścich, zaniechali niezgody i radością tylko przejęci, biegli na powitanie tego anioła pokoju. Zostawmy ich w tem upojeniu. Ale też nie uwierzysz, jak ich zaraz sobie ująć umiała królowa, i z jakim rozsądkiem szesnastoletnia dziewica rządzi potężnem królestwem. Jej wdzięki dobroć i pobożność łatwemi czynią wszystkie dla niej ofiary. każdy Polak jest w niej zakochany i w wyborze jej męża tyle gorliwości przykłada, jak gdyby szło o jego własne uszczęśliwienie.

Z niewymownem upodobaniem zdał się tych pochwał słuchać młodzieniec, i znowu w tak cichą ze starcem wdał się rozmowę, że z niej Jawnut nic nie mógł osiągnąć, prócz nazwisk ludzi wcale nieznajomych; uważał jednak, że mowa ich coraz mniej żywą się stawała, a cała baczność Trojdana zdała się być zwróconą na pakę, którą w ręku trzymał.

— Więc tedy — odezwał się głośniej — nadzieje księcia Wilhelma niezawodnie spełnione zostaną? Będzie królem i mężem Jadwigi?

— Takbym rozumiał — odpowiedział Wszebor. — Co do mnie, wyznaję szczerze, że wolałbym, żeby nim był Wilhelm, aniżeli kto inny. — Wiesz, że król Ludwik, kiedy dziećmi jeszcze byli zaręczył ich sobie. Atoli, gdy na tron Jadwiga wezwaną została, matka jej, królowa Elżbieta, układem z pełnomocnikami polskimi w Koszycach obowiązała córkę do wzięcia tego za męża, którego Polacy swym królem obiorą, to jest, że nie ten osiągnie jej rękę, który będzie jej miłym, lecz który najzdatniejszym okaże się do rządzenia narodem.

— Otóż to ten zawsze najzdatniejszy bywa najgorszym królem. Lecz kiedy go królowa nad wszystkich przenosi, czemużby naród miał być tak niewdzięcznym, żeby się upierał jej uszczęśliwieniu?

Przyznawał starzec słuszność uwagom Trojdana, a gdy już dzień zdawał się być bliskim, a świt szary rozpędził ciemności nocy, oświadczył, że już oddalić się musi. Nie sprzeciwiał się tej potrzebie młodzieniec, bo pragnął także, póki pora służyła, drogi swój skarb zanieść do izdebki, prosił go tylko, iżby, nim Wilno opuści, wstąpił do klasztoru księży Franciszkanów i jeśli tam o nim chodzą złe wieści, sławę jego naprawił, a nadewszystko, żeby na przypadek zostawił im hasło. Śmiał się z tej ostrożności starzec, że jednak potrzebował dla wypocznienia odwiedzić gościnny zakon, przyrzekł, iż wszystko podług jego woli uczyni.

— Bóg wie, kiedy się z sobą zobaczymy! — mówił zasmucony Trojdan — ale cię jeszcze nie żegnam, odniosę tylko i za chwilę znów jestem z tobą.

Jawnut, widząc zbliżający się koniec powierzeń, z których tak mały ciekawość jego odniosła pożytek, opuścił miejsce podsłuchu i do ołtarza się udał, żeby ogień podniecić. Siadłszy potem, rozważał głęboko to wszystko, co widział i słyszał.

Wnioski jego nie mogły go zaprowadzić daleko; lecz słusznie te wywiódł prawdy, że Trojdan nie jest Litwinem, że miłość jest cierpień jego przyczyną, że ona go wprowadziła w mury świątyni i że ma zamiar coś w nich znakomitego wykonać.

Największą zaś w nim wzniecało ciekowość, co może w sobie zamykać ta cudowna paka. Po długich namysłach wniósł nie bez słusznej przyczyny, że pewnie musi być składem rycerskiego rynsztunku i znamiom poświęconych swej pani, lecz lekkość paki, niestosowna z tem domniemaniem, w nową go wprowadzała niepewność. Tak rozmyślając, zaczął pomału usypiać, gdy spostrzegł przesuwającego się w cieniu filarów Trojdana, który zręcznie swój skarb unosząc, wpadł do drzwi prowadzących na korytarze i niedostrzeżony zmierzał do swej izdebki.

Krótka była chwila niebytności Trojdana, ujrzał go Wszebor niezwłocznie z powrotem i śród przestróg, które mu dawał, najbardziej zalecał ostrożność. Młodzieniec nawzajem pamięci jego oddawał uspokojenie ojca. Możeby do wschodu słońca przesiągnęli rozmowę, gdyby Trojdan nagle nie usłyczał poruszenia w świątyni. Wkrótce obił się o jego uszy głos kaszlącego Jerbuta. Na ten znak straszliwy, jak piorunem rażony, ścisnął Wszebora, poskoczył do drzwi i w cieniu stanąwszy, starał się naprzód przekonać, ile Jerbut wiadomym być może jego przewinienia.

Jakiż widok ujrzał okropny! okrutny zwierzchnik, karząc nieczujność Jawnuta, rozkazywał mu włożyć w żar rękę. Wypraszał się ze łzami młodzieniec, obiecując poprawę, ale żadne prośby, żadne przyrzeczenia nie mogły zmiękczyć surowego kapłana. Trojdan wiedział dobrze, że za oddalenie się podobna, jeśli nie gorsza czeka go kara, niepomny jednak niebezpieczeństwa i obroną tylko przyjaciela zajęty, postąpił śmiało do ołtarza i pełen odwagi, wstawiał się za nieszczęśliwym, przebaczenia wzywając.

— Ojcze szanowny! błagam cię, proszę — mówił z poruszeniem — miej litość nad ludzką słabością. Jawnut nie mógł się oprzeć omdleniu, które go snem na chwilę zmorzyło. Ja więcej winny jestem, żem się oddalił.

— I tyś tu, przykładny młodzieńcze? — rzekł Jerbut z piekielnym uśmiechem. — Zkądże to wracasz, powiadaj?

— Zaduch i gorąco zmusiły mnie do opuszczenia ołtarza na chwilę, nic się przeto złego nie stało, Znicz równą gore jasnością.

— Otóż to jest ta pobożna gorliwość, to poświęcenie się bez granic, które lud w tobie pod niebiosa wynosi. Radbym, żeby ci się teraz Lezdejko przypatrzył. Wierzę, niegodny, żeś osłabł; czyż może bowiem przytomność takiego leniwca miłą być bóstwu? O! gdzież się te czasy podziały, w których stróż Znicza oczu nawet od ołtarza nie śmiał oderwać! teraz trzeba ich na łańcuch przykowywać, żeby czas swój wysiedzieli. Ten śpi, ten rzuca świątynię! bezbożni! stos, stos zapalony was czeka.

— Mój ojcze! — rzekł Trojdan — człowiek nie jest jak te widły z żelaza; przyrodzenie słabym go stworzyło; gorzej byłoby, gdyby, nie ratując siebie, padł na tych stopniach bez życia, wtenczas by może Znicz mniej jasnym gorzał płomieniem.

— Milcz, niegodny! — krzyknął chrapliwie Jerbut. — Na ten raz jeszcze przebaczę; ale niech kiedy dostrzegę najmniejszą niedbałość, zapłacicie mi za wszystkie czasy. A teraz (dodał po chwili) słuchaj. Pojutrze dzień ślubu siostry książęcej. Będziesz mi posługiwał pod ręką. Szaty, pochodnie, kadzidło, wszystko, żeby było w porządku, rozumiesz?

Trojdan skinieniem głowy dał znak posłuszeństwa i cieszył się w duchu, że surowy zwierzchnik tak mało wiedział o tem, co się stało. Po odejściu rządcy poskoczył do niego Jawnut i w najczulszych wyrazach okazywał mu wdzięczność za oszczędzenie męczarni.

Umiał Trojdan użyć tej okoliczności do objawienia przyjacielowi prawdziwego stanu swojego; owszem, niezwłocznie zabrawszy kilku ofiarników, którym się już dobrze dała we znaki dzikość Jerbuta, złożył z nimi radę i odkrył im cel swego do świątyni przybycia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SĄSIEDZI.

Oj, zwiedziłem kawał świata,
Kawał świata, kawał ziemi,
W drodze zeszły młode lata
Między swemi i obcemi.

Raz wstąpiłem do Jakóba:
Zesechł biedak, jak szczypiórek,
Za to jego żonka gruba
Wypasiona jak ogórek.

U Michała grosz w kieszeni
Są dostatki i omasta
Ale brudno w izbie, w sieni: —
Możne prosię, ta i basta!

U Ignaca stogi siana
I dość zboża jest w komorze,
Lecz i brudu po kolana
W każdym kątku, w każdej porze.

U Wojciecha tuzin dzieci
A w stajence cieląt czworo —
Pod nosem się dziatwie świeci
I bielizny im nie piorą.

Lecz cielątka, jakby łanie,
Wyczesane i umyte...
Większe cielę ma staranie,
Niż dzieciątka rodowite!

Cóż, że Michał ma grosiwo
A zaś Ignac stogi siana,
Gdy brud u nich, jako żywo,
Pewno w głowach po kolana.

Cóż, że Wojciech ma dobytek —
A zaś dzieci zaniedbane,
Opuszczone — na dobitek —
Jak cherlaki schorowane.

Ej, Wojciechu, ej, Michale
O czystości myślcie więcej
Bo ja ciebie nie pochwalę,
Choćbyś miał i sto tysięcy.

Antoni Socha.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

Wspaniałą była przeszłość narodu polskiego, a choć nas dzisiaj gniecie jarzmo niewoli, przyjdzie kiedyś czas, że się to z pomocą Bożą odmieni. Aby do tego dojść, każdy Polak w pracy codziennej, wytrwałej a uczciwej, winien odtwarzać sobie w myśli owe przeszłe, stare lata, w których wolny Orzeł biały bujał nad wolną ziemicą polską.

Chcąc to ułatwić Czytelnikom naszym, przejdziemy całe dzieje Polski, podając co tydzień jeden obrazek. Każdy z nich przedstawiać będzie jakiś ważniejszy wypadek historyczny, od czasów bajecznych, aż do chwil ostatnich. Dołączony tekst objaśni niejednego i przypomni mu ważniejsze dzieje z życia narodu polskiego.



Lech znajduje gniazdo.

Ziemia, na której obecnie mieszkamy, ziemia polska, była pierwotnie cała pokryta ogromnymi lasami. Na ziemię tę, jak mówi podanie, przyszedł z nad Dunaju Słowianin, imieniem Lech, z swoim ludem i dobytkiem. Był to wojownik dzielny i zapobiegliwy. Upodobawszy sobie piękną okolicę nad jeziorem, kazał wycinać lasy i budować miasta.

Celem upatrzenia najstosowniejszego miejsca pod pierwszą osadę, wybrał się z dworem swoim na zbadanie okolicy. Przyszedłszy nad jezioro, zobaczył orle gniazdo, z którego troje orląt wyciągało do niego swe główki.

Uważając to niejako za wyrocznię bogów, gdyż Lech był poganinem, kazał w tem miejscu budować miasto, które od znalezionego gniazda nazwał Gniezdnem, które potem przemieniono na Gniezno. W mieście tem zamieszkał Lech z swoim dworem i uważał je za stolicę swoich posiadłości. Ztąd też czynił wyprawy po swoim kraju, a nierzadko zajechał i do sąsiedniego, ale zawsze w celach przyjacielskich. Najdawniejsi Polacy wojny nie lubieli, żyli zgodnie i łagodnie.

Białego orła przyjął za herb swej nowej ojczyzny.

Bzik antypolski.

Na niegodziwe i bezrozumne pomysły wpadają hakatyści, ci, oszaleli z nienawiści do naszego narodu Niemcy pruscy, którzy silą mózgi nad sposobami zgładzenia z powierzchni ziemi wiary, języka i narodowości polskiej. Od trzydziestu lat pracują a nie mogą swego dzieła dokonać. Nie mogą, bo choć kują swoje ludzkie prawa, przecie na prawo Boskie niema rady, a Bóg sam kazał każdemu trzymać się swej wiary, języka i ziemi. To też gdy nie pomagają stare sposoby, ustawy wyjątkowe i miliony, coraz nowe spisują prawa przeciwko Polakom, jak niedawno uchwalona wstrętna ustawa, dająca prawo wywłaszczać Polaków ze ziemi.

Te niegodziwości widzą i potępiają wszyscy uczciwi Niemcy, szczególnie katolicy niemieccy. Cały ten obłąkany prawdziwie ruch przeciwpolski nazwali słusznie „bzikiem antypolskim“. Starają się też opamiętać rodaków, a gdy nie pomaga namowa i tłumaczenie, że hakatyzm jest złą i szkodliwą rzeczą, ośmieszają jak mogą te wrogie Polakom dążenia, wydrwiwając bezrozumny strach, jakiemu ulegają Niemcy, plotąc bajki o „niebezpieczeństwie polskiem“.

Niedawno w piśmie katolickiem niemieckiem, „Górnośląskiej gazecie ludowej“, pojawił się taki artykuł wyśmiewający hakatystów. Dziennikarz niemiecki radzi postarać się o następujące prawa:

1) Każdy Polak, liczący więcej niż trzy lata, musi nosić kaganiec na ustach.

2) Polak, liczący więcej niż 6 lat, musi być prowadzony na łańcuszku.

3) Polacy mogą się osiedlać tylko w koloniach, otoczonych murami 50 metrów grubymi i 100 metrów wysokimi, których wrota będą dniem i nocą strzeżone przez hakatystów, okutych w pancerze.

4) Pociągi kolejowe w krajach polskich zostaną zamienione na pociągi opancerzone.

5) Mieszkania hakatystów muszą być przybrane w płyty pancerne i uzbrojone w armaty Kruppa.

6) Stałe patrole na wzór hyclów, zaopatrzone w wielkie siecie, krążyć będą dniem i nocą po ulicach, aby każdego Polaka, pochwycić i zamknąć.

7) Każdy hakatysta, a przedewszystkiem zaś każdy hakatystyczny redaktor, otrzymuje straż przyboczną, złożoną z 1000 chłopa, która mu wszędzie towarzyszy, nawet w najskrytsze miejsce.

8) We wszystkich miejscowościach i zagrodach, w których przed 50 laty widziano Polaka, utworzone będą straże alarmujące do pomocy.

9) Nad całym krajem polskim założone zostaną przyrządy do czyszczenia powietrza, celem doprowadzenia powietrza z Saksonii.

Wędrowiec.

Człowiek był nie młody, ale krzepki i silny. Rodzinną wieś opuścił i szedł drogą, szczęścia szukając — czy lepszego, bielszego chleba. Nie był sam. Otaczało go dzieci czworo: dwóch synów, dwie córki i żona. Synowie hardo w górę podniesione nieśli czoła — lęku w nich nie było — odwaga jakaś biła ogromna i moc. Córki z razu tęskliwie oglądały się za siebie — potem kwiaty przydrożne zbierać jęły — i wnet popłynęła powietrzem rześkim, bo rannem, piosenka. Najdłużej przystawała za gromadką żona. Ciężko jej było snać żegnać się z ziemią rodzoną — w oczach smętniała, i nogi z trudem wlokła. Jakby miarkowała, że i tu nie wróci, i do nowego nie trafi ogniska. Chłop-ojciec co chwila na żonę oglądał się, stawał, gderał trochę, aż mu widać jej żal i ból do serca także się dobrał, bo coraz rzadziej odzywał się—jeno w trosce na nią spoglądał.

Droga z początku prosta, nagle wić się zaczęła między jarami. Z początku widać jej było szmat — jak okiem sięgnąć — teraz co kroków kilka, kończył się dojrzały ślad, schowany za ułomkiem wzgórza — lub okryty gąszczem. Nie widzieli krańca. Aż jednemu z synów spodobała się cisza głębokiego wąwozu.

— Ostawcie mnie tutaj, ojcze — rzekł — ostawcie samego — spróbuję chatę zbudować, trzodę skupię i spędzę — i żyć będę w samotności jak inni żyją w gromadach. A może mi lepiej będzie jak im.

— Wola twoja synu — odpowiedział ojciec i dalej ich poszło już tylko pięcioro.

Matka z dala jeszcze błogosławiła synowi — i łzę cichą otarła. Widać rzewliwe miała serce.

Na dziwnie kamienistym kawałku drogi, wiodącej teraz pod górę, spotkali ludzi gromadę. Ci wyszli z bocznej drożyny, co niby rzeczka mała do większej z boku na gościniec wypadła. Czas jakiś dążyli obok siebie milczący, bo to i słońce dopiekało, i szukać trza było nodze miejsca mniej kłującego — aż przemówili wreszcie, społem się pozdrawiając.

Tamci nie rodziną byli, lecz obcymi, co zdawna razem wędrując, różne między sobą sprawy mieli przyjaźnie i nienawiści. A poznać to było łatwo, gdyż sobie wzajem pomagali jedni — drudzy zaś radzi byli wyprzedzić, a ostawić innych; ci zawsze z sobą pragnęli ostać i wspólnie żyć — owi przeklinali spotkanie.

Aż do córki młodszej zbliżył się chłopiec — co raźno szedł wśród onej gromady, pień śpiewał nabożną — i jasne miał oczy.

— Kamienista droga — rzekł wesoło.

— Z pieśnią przejdzie się jakoś — odparła.

— Z pomocą ręki drugiej, lżej będzie — powiedział jeszcze.

— Trzaby wiedzieć, ręka czyja — roześmiała się.

— A ot, przyjacielowa — szepnął ciszej i już nie odchodził.

A kiedy w dolinę zeszli szeroką, przerżniętą rzeczką, usianą bydłem, owianą dymem chat białych, śmiejących — młodzieniec do kolan pochylił się ojcu dziewczyny — i ostali razem w gnieździe. I znów tylko matka płakała. Było jej iść coraz ciężej.

— Nie troszcz się o mnie — mówiła do męża — idź, idź dalej — szukaj doli.

Człowiek spoglądał na nią smutno i trwożył się. Ale szedł naprzód. Aż nagle, podczas odpoczynku, przyjrzał się żonie. Dotąd zajęty drogą, nie widział nic, nie uważał.

Zapadłe miała oczy — twarz wyschłą — na ustach skurcz bolesny.

— O Jezu! — jęknął — co tobie?

— Zostanę tutaj — odpowiedziała cicho, bez skargi, ale gdy czuła,ża tamci do dalszej drogi zbierać się pragną, spróbowała nogi dźwignąć. Obolałe, spuchnięte, stwardniałe.

Na próżno... Została na prawdę, i na zawsze. Tylko jeszcze prosiła w ostatniej godzinie, aby położono ją w grobie twarzą ku tej stronie, w której zostali syn, córka i zagroda, zagroda ojcowa i szczęsna.

Na drodze wyrosła mogiła: Ot — mijali tych mogił tyle, całe cmentarzyska; jedne umajone były, ukwiecone, inne opuszczone, samotne. Tak i ta mogiła wyrosła.

Tylko ojcu jakby przy owej mogile pół duszy zostało. Coraz więcej opierał się na syna ramieniu, coraz częściej pytał o koniec wędrówki. Gromada spotkanych rozproszyła się powoli — na jej miejsce napłynęły inne. Człowiek patrzył boleśnie, bo i coraz boleśniejsze widział rzeczy.

Otaczała go nędza; w łachmanach szły i przechodziły mimo niego starce i młodzi — obdarte sieroty tułały się po drodze żebrząc, kradnąc lub śmiejąc się ohydnie; nie rzadko ochrypły głos o jałmużnę prosił — a prośba brzmiała jak groźba. Aż litość zdjęła serce starszej córki.

— Ojcze, po drogach tych mnóstwo ludzi nieszczęśliwych, cierpiących — zaczęła nieśmiało.

Czekał co powie dalej.

— Pomódz im chcę, chcę iść drogą, co nie ku mojemu szczęściu prowadzi, lecz ku ulżeniu innym — mówiła.

— Więc idź córko — odrzekł stary — a w myśli dodał: — na tej to drodze szczęście własne znajdziesz.

Został mu syn; jedyny już teraz. Ostatni. Ale i jego godzina wybiła. O powietrze uderzył gwar walk: Huczały działa, furkotały sztandary, rżały konie, szczękała broń.

— Co widzisz synu w oddali? nie dojrzę, — szepnął stary. Ale w tejże chwili dojrzał twarz syna, płonęła. A płomień był jasny, czysty i święty, jak wolności miłość, jak ofiara krwi.

— Na bój idę ojcze, błogosław... za ojczyznę — za ojczyznę!

— Dzięki Ci Boże, żeś choć jednemu dał śmierć szczęśliwą na polu bitwy, a jam ją ujrzał przed końcem — modlił się starzec.

Sam został. I resztę drogi sam też odbywał nie oglądał się na towarzyszące mu, lub mijające go gromady; nie słyszał śmiechów, ni bluźnierstw, ni pieśni; tylko coraz częściej oglądał się za siebie i coraz częściej na niebo spoglądał. Czyli nie wieczór nadchodzi?

A gdy raz myślał gdzie kres wędrówki, ujrzał ludzi idących ku sobie, jasnych, promiennych, którzy zbliżywszy się, rzekli:

— Do ciebie idziemy z wieścią dobrą, albowiem blizkim już jesteś celu twojego.

I westchnąwszy z ulgą, na kolana upadł starzec cichy i... ujrzał się w niebie.

Stanisław Krzywda.



Pomnik cesarza ze śniegu.

Nikt nie zliczy, ile powstało podobizn cesarza Franciszka Józefa I. przez ciąg jego sześćdziesięcioletniego panowania. Zakłady publiczne, stowarzyszenia, urzędy, szkoły, ludzie prywatni — wreszcie wszyscy jednem słowem, starają się, aby posiąść podobiznę ukochanego monarchy.

Portrety cesarza istnieją więc rysowane, malowane, kamienne, metalowe. Najznakomitsi i najsławniejsi malarze i rzeźbiarze starali się utrwalić rysy dobrotliwego władcy. W bieżącej zimie przybył jeszcze jeden, iście niezwykły portret.

Niestety nie jest on trwały, prędzej czy później zniknąć musi. Pewien rzeźbiarz, bawiący na wsi pod Wiedniem, ulepił ze śniegu ogromny, bardzo piękny pomnik, na którym cesarz wyobrażony jest do połowy ciała. Twarz jest bardzo podobna, uśmiechnięta. Rzeźbiarz, układając warstwy śniegu, polewał je ciągle wodą, aby pomnik wypadł twardszy. Ale to nie na długo pomoże! Gdy słoneczko cieplej zagrzeje, śnieg stajać musi i z dzieła rzeźbiarza pozostanie tylko fotografia. Z tej fotografii podajemy tu obrazek.

U dołu umieścił rzeźbiarz litery cesarskie F. J. I., a na boku swój podpis, aby ludzie przechodzący wiedzieli, kto takie sztuki umie robić ze śniegu.

Śnieg.

Lecą białe gwiaździste, lekkie i miękkie płatki śniegu; otulają, okrywają zmarzłą ziemię niby puchem ciepłym. — Nie było to przed wieki.

Zahuczał wiatr zimowy, przyszły srogie mrozy, ścięły skorupę matki-ziemi w bardzo twardą grudę. Ukryte pod nią i pogrążone w śnie zimowem stworzonka i zeszłe jesienią roślinki marzły i marniały. Drżała matka-ziemia po ciepłej jesieni w lodowatych objęciach zimy i jęczała głęboko, boleśnie.

Wydało się, że zamarznie do głębi, do samego środka swego łona tajemniczego, że zaginie pod pętami i smaganiem mrozu wszystko życie na powierzchni. Zatem drżąc sama ze zimna, biadała matka-ziemia, rodzicielka i żywicielka, biadała nad niedolą tych, których wydała na świat i szumem wiatru przeciągle wzdychała.

— Pójdźcie i cieszcie się, moje dziateczki kochane! Oto za wstawieniem się mego Syna-Zbawiciela, Bóg Ojciec wysłuchał łaskawie mej prośby i pozwolił wam ratować biedną ziemię. Ale powiedział Bóg Wszechmocny, że musicie sami pomyśleć i postarać się o radę dla tej, którą ratować od mrozu chcecie. Dopiero wtedy dobry uczynek jest zupełny, gdy się stanie ciałem. Żałować, to zamało dziateczki drogie, trzeba coś dać od siebie, dopomódz.

Usłyszeli to westchnienia srebrnoskrzydli mieszkańcy nieba. Małe serduszko zdjął żal głęboki i litość i z oczyma łez pełnemi otoczyli tron Królowej nieba i ziemi.

— Matko — ulituj się — płynęło błaganie z drżących usteczek anielskich — ulituj się nad ziemią biedną i wstaw się do naszego Króla o ciepłą dla niej powłokę. Ona drży od mrozu, ona jęczy i skarży — matko, a owady giną niepowrotnie. Zlituj się, zlituj!

Dobrotliwy, słodki uśmiech rozjaśnił cudną twarz Królowej nieba — ucieszyło ją to współczucie anielskie dla cierpienia ziemi i przyrzekła, że prośbę ich Panu przedłoży.

Po niedługim czasie przywołała do siebie Boża Matka całą rzeszę anielską i oznajmiła jej, że Stwórca wysłuchał prośby aniołów, a w nagrodę za ich dobre serduszka pozwolił im samym wynaleźć sposób zabezpieczenia ziemi od srogiego chłodu.

Zadumały się kędzierzawe główki, zasępiły białe czoła anielskie, a myśl z natężeniem pracowała... Myśleli długo, mozolnie...

Naraz błysnęły radośnie błękitne oczy jednego z aniołków, uśmiech zaigrał na ustach — znalazła się rada. Pochwycił szybko śnieżno białe swe skrzydełka i wyrwawszy z nich garść miękkich i drobniutkich piórek — posypał na ziemię... Za jego przykładem poszły całe, niezliczone zastępy skrzydlatych towarzyszy.

I popłynęły z małych rączek śnieżne, drobne piórka anielskie i posypały się lekko, cicho na ściętą mrozem ziemię.

Biały, ciepły płaszcz zimowy utulił ją troskliwie i zabezpieczył ukryte pod powłoką grudy — stworzonka.

MŁODOŚĆ.

Ileż uroku ma w sobie to słowo: młodość. Któż z nas nie był młodym i ktoby nie pragnął, aby wróciły się te dni upojeń i zachwytów? Młodość to najszczęśliwsza chwila życia, to poranek życia!

Ale czy zawsze?

Zadaniem młodości nie są same tylko uciechy i rozkosze. Są tam róże woniejące, ale są i kolce cierniste.

Jeżeli serce młodzieńca zapragnie poświęceń, jeżeli młodości swej nie postawi na czele swych uczuć — ostoi się na drodze, wytrzyma burze i zwalczy pokusy, bo młodość, ufna w swe siły, stanie do walki, nie wierząc w niebezpieczeństwo, gotowa ramieniem powstrzymać walące się skały, niedolę bliźnich piersią roztrącić.

Ale nieszczęśliwa ta młodość, którą pierwszy wiatr łamie, pierwsza pokusa zwycięża, pierwsza walka nuży.

A jaka młodość, takie życie całe!

Jeżeli drzewko młode skrzywimy, to ono krzywo rosło będzie, jeżeli serce młode z prawej drogi strącimy, to ono nigdy na nią nie wróci. Szczęście człowieka od tego zależy, co zostało w serce jego wszczepione. Jeżeli zaszczepimy miłość ku bliźnim, to ono zapłonie nią i życie całe płonąć będzie; lecz jeżeli tam rzucimy ziarno nienawiści, to ono się tam w drzewo rozrośnie, stoczy je jak gangrena i unieszczęśliwi życie.

A jakżesz my mało na młodość dzieci naszych uważamy!

Ot, zeszli się sąsiedzi, odwiedził kum kuma, posłali po półkwaterek do karczmy i pociągają wódeczkę. Naraz jeden ze starszych, chrzestny ojciec, którego chrzestnik Jaś koło nóg się wałęsa, zobaczył malca, ulitował się nad nim i powiada:

— Kumie, ta dajcież i Jasiowi — niech ta biedactwo spróbuje!...

A kum, jak kum — raju by synkowi przychylił, nieba nie żałował, więc wódeczki by mu odmawiał? Nalał do kieliszka i własną ręką własnemu dziecięciu do ust podał truciznę. Śmierć duszy mu dał — zgubę mu dał. A gdy się dziecię po wypiciu mało, albo wcale nie skrzywiło, dumą napełniło się serce ojcowskie.

O, ojcze, gdyby ci ręka pierwej uschła, mniejby mi cię wtedy żal było, jak w chwili, gdyś synkowi twemu ręką własną zgubę podawał!!

A Jaś skosztował raz, skosztował raz drugi, i do wódki się przyzwyczaił. A ty ojcze sam temuś winien, boś dawał ręką własną truciznę dziecięciu twemu.

A oto inny obrazek.

Cały dzień była praca, ciężka praca, od której twoja Kasia, matko, omal rąk i nóg nie czuje. Przyszło dziewczę umordowane, spocone, że żal patrzeć na nią. A tu w karczmie muzyka, a tu w karczmie wesele, że aż serce samo tańcuje.

— Idź, Kasiu! — powiadasz matko — idź, zabaw się i rozwesel — odetchnij po pracy!

Kasia na to, jak na lato! Zawdziała gorsecik złocisty, różową spódniczkę i dalejże na gzy i pląsy. Oko twoje matko nie widziało, co córka tam czyni. Nie będę ci tego powtarzał, bo ty wiesz dobrze, co dzieje się na takich muzykach i zabawach. Ale nie narzekaj potem na zepsucie twej córki, na jej krnąbrność i złośliwość, boś ją sama ręką własną pchnęła w przepaść,

A znowu inny obrazek.

Pojechał Staszek do lasu, ukradł kawał drzewa, a ty, gdy wrócił, ojcze, dałeś mu parę groszy w nagrodę by sobie kupił za nie tytoniu. Popełniłeś podwójną zbrodnię. Zasiałeś w młodem sercu chęć do kradzieży, nauczyłeś go używać palenia tytoniu, zabijającego ciało jego. Dziwisz się potem, że ten twój Staszek, to już nie ten Staszek, jaki był przed rokiem. Ale tyś mu ojcze, zasiał w serce zgniliznę, tyś go zepsuł, tyś sprowadził z drogi prawej. O nie na dziecię twe narzekaj, ale sam głową tłucz o ścianę, że djabeł skusił cię do czynu takiego. Tłucz głową i żałuj, ale złego nie naprawisz!

A ileż, ojcze, matko, zasiewasz w sercu dziecięcia twego jadu nienawiści! Wszelkie twoje złorzeczenie sąsiadowi, lub komukolwiek to ziarna zgnilizny rzucane na młode serce twego dziecięcia. Raz zasianego ziarna nie wyrwiesz z serca dziecka.

Ileż to razy, ojcze i matko, wobec dziecięcia twego używasz słów plugawych i bezecnych, które kalają młode serce jego! Ileż to razy obgadujesz nauczycieli i wychowawców twojego dziecięcia wobec niego, — ludzi tych, dla których twe dziecię tylko cześć i szacunek mieć powinno, choćby ludzie ci w życiu błądzili! O, uważaj, uważaj, bo kąkolu raz posianego w sercu twej pociechy już nigdy wyrwać nie zdołasz!...

Młodość, to jak ta niwa urodzajna. Jeżeli w nią wrzucisz ziarno pszenicy, to ono tam skiełkuje, bujnie wyrośnie i wyda plon obfity. Ale jeśli na tej niwie zasiejesz chwasty a osty, to nietylko sam miał nie będziesz pożytku, lecz i sąsiednie pola zachwaścisz i zepsujesz.

Siejmy więc na tej niwie same piękne kwiaty i dobre zboża, abyśmy kiedyś miły i dobry plon zbierać mogli!

Młodość, to jak ten strumień górski, który po kamykach wartko płynie. Woda w nim, jak łza czysta, i jak kryształ przeźroczysta. Rzućmy jednak w nią grudkę ziemi, to ona w tej wodzie się rozpuści, zamąci ją i zanieczyści!

O, szanujmy czystość i nieskazitelność tego czystego strumienia! Chrońmy go, aby tam nie wpadł żaden pyłek, któryby mógł zamącić przeźrocza jego. Odsuwajmy od młodości wszystko, co ją splamić i pokalać może.

Młodość — to słowo wielkie, to słowo piękne! Młodość to poranek życia, ale winna ona być spędzana w ogrodzie kwiecistym a nie w gnoju i zgniliźnie. Młodość powinno otaczać to wszystko co piękne, co wzniosłe, co szlachetne, a nie to, co sieje zepsucie i zgniliznę.

Zamiast kieliszka wódki, zamiast płochej i niemoralnej zabawy, zamiast słów nienawiści, daj synowi twemu, daj córce twej do ręki książkę, lub gazetkę pouczającą, a gdy na zabawę zezwolisz, niech ona się odbywa pod twojem okiem. Niech dziecię twoje nie będzie samolubnem, ale niech patrzy, aby stało się kiedyś pożytecznem dla drugich, dla dobra powszechnego.

Pamiętajmy więc, że młodość, to skarb serca, to pieśń niewinności, to przeczucie szczęścia, ten pączek nadziei, zamieni się w kwiat trupi, jeżeli nie wyrośnie na gruncie powszechnego dobra, jeżeli jej nie będziemy chronić przed złem tego świata.

Ant. St. Bassara.

Wzrok ofiary.

XI. Nowe ślady.



Bernadet tryumfował; powrócił do domu na obiad w możliwie najweselszym humorze, jakiego rodzina już dawno u niego nie widziała. Trzy córeczki, jednakowo ubrane, radośnie rzuciły mu się na szyję, wiecznie młoda pani Bernadet powitała go z wesołym uśmiechem i ucałowała go serdecznie.

— No, moje dzieciaki — mówił inspektor — zdaje mi się, że dzisiał nie zrobiłem złego interesu, jestem prawie pewny, że albo zaawansuję, albo dostanę przynajmniej nagrodę pieniężną. A jeżeli mnie nadzieje nie zawiodą i istotnie coś dostanę, to i was nie minie uciecha, kupię wam parę ładnych rzeczy. Ale tym razem to nie moje myślenie było mi przewodnikiem, coraz mocniej wierzę, że mój aparat fotograficzny wyświadczył badaniu sędziego śledczego niezmierne usługi. Opowiadać wam wszystko dokładnie byłoby zanadto nudne, a może i bez potrzeby, bo nie wszystko moglibyście zrozumieć, moje małe. Tymczasem więc siadajmy do stołu.

Bernadet jadł rzeczywiście z wielkim apetytem i w przerwach ledwie miał czas opowiedzieć, że domniemany morderca Rowera siedzi już zamknięty.

— Ach — mówił Bernadet, zanurzając łyżkę w talerzu zupy — gdybyście były widziały, jak mu się to strasznie nie podobało!... A jaki był zdziwiony!... Ustawicznie twierdził, że jest niewinny... podobnie zresztą, jak to czynią wszyscy inni...

— Ale gdyby on istotnie był niewinny? — zauważyła pani Bernadet.

Trzy dziewczątka podniosły ciekawie zaróżowione twarzyczki i spojrzały na ojca, jak gdyby chciały nadać większe znaczenie zapytaniu matki.

Najstarsza ośmieliła się nawet szepnąć:

— Tak, gdyby mama miała słuszność?!

Bernadet poruszył przecząco głową.

— Gdyby człowiek chciał im wszystkim wierzyć — oświadczył — trzebaby chyba przypuścić, że wszyscy zbrodniarze są niewinni, a zbrodnie dzieją się same przez się. A gdyby ten był niewinny, zdziwiłbym się tak samo, jak zobaczywszy śnieg padający w czerwcu. Niech udowodni, że jest niewinny! To się już pokaże!... Daj mi jeszcze trochę zupy, kochana żono.

Gospodyni domu nalała dymiącej się zupy na podany jej talerz i pytała dalej:

— Sądzisz zatem, że nie ma ludzi niewinnie skazanych? I nigdy nie mylicie się?

Bernadet jadł spokojnie dalej.

— Tego nie twierdzę. Nikt z ludzi nie jest nieomylny... nikt. Najbardziej przebiegli mylą się, kompromitują. Ale to rzadko, bardzo rzadko.

— Ale ten dzisiaj uwięziony — pytała pani Bernadet — czy jesteś pewny, że zawinił... jak on się to nazywa?

— Dantin, Jakób Dantin. — Elegencki, bardzo piękny mężczyzna. Jak wykazało śledztwo, znajdował się w kłopotach pieniężnych i oto właśnie... Rower miał w kasie tyle papierów wartościowych... Sposobność robi złodzieja... I oto...

— Tatusiu — przerwała mu najstarsza córeczka, czy mógłbyś nas wziąć na rozprawę sądową?

— Nie mogę wam tego przyrzec w tej chwili. To nie tak łatwo. Ale zobaczę, gdy będziecie pilnie się uczyć, spróbuję, co można zrobić.

— O, w takim razie będę się uczyć bardzo pilnie — zawołała najstarsza z dziewcząt.

Po obiedzie Bernadet wypił spokojnie kawę, pozwolił dziewczętom maczać w niej cukier, potem wyciągnął się wygodnie w starym fotelu, skórą pokrytym, który nabył gdzieś u jakiegoś handlarza za tanie pieniądze. Wiele przedmiotów w jego pomieszkaniu przypominało odleglejsze czasy, bo chętnie włóczył się po sklepach handlarzy starożytności, zwanych antykwaryuszami. — Odetchnął swobodnie, pełną piersią, jak człowiek, który znużony wytężającą pracą całego dnia, używa zasłużonego spokoju.

Rozwinął gazetę, którą żona położyła mu na stoliku obok kieliszka jałowczaku, jego ulubionego trunku.

— A prawda! — zawołał, przypominając sobie — zaraz się dowiemy, co ci poczciwi dziennikarze wymyślili nowego w sprawie Rowera. Wierz mi kochanko — zwrócił się do żony, która ze starą służącą sprzątała stół po obiebie — są doprawdy ciągłe wyścigi między nami a dziennikarzami. I nieraz uda im się wiedzieć coś przed policyą. Ale wtedy, gdy nic się dowiedzieć nie mogą, Bóg wie, jakie wymyślają historye!

Mała lampa oświetlała gazetę, którą Bernadet rozwinął. Inspektor zaczął się w niej rozglądać.

Przypomniał sobie Pawła Rodiera, młodego dziennikarza, który radził mu, aby czytał jego gazetę i dowiedział się coś o czarnej kobiecie

— Zaraz zobaczymy — pomyślał Bernadet.

Jednym rzutem oka przebiegł całe pismo.

Czyżby Paweł Rodier wymyślił cały artykuł, jaki dał swym czytelnikom ze wszystkimi szczegółami? Inspektor policyjny zmarszczył brwi i czytał artykuł z uwagą, rozważając każde słowo.

Rodier podawał najpierw życiorys dokładny Rowera. Zapewniał z całą stanowczością, że był on wmieszany w Argentynie w bardzo niebezpieczne sprawy. Była to osobistość, o której w Buenos Ayres opowiadano sobie dziwne historye. Sprawozdawca zasięgnął wiadomości od korespondenta pewnego argentyńskiego pisma, który mieszkał obecnie w Paryżu, a podczas swej bytności w Ameryce południowej bywał nieraz częstym gościem w domu Rowera. Wszystko, zdaniem młodego dziennikarza, pozwalało przypuszczać, że zamordowanego łączyły z nieznajomą kobietą bliższe stosunki, może nawet pokrewieństwo. Kobieta była młoda, zawsze ubrana bardzo bogato, nie ulegało wątpliwości, że nie mieszkała w Paryżu. Należało więc przedewszystkiem dążyć do tego, aby dowiedzieć się o jej nazwisku, o jej miejscu zamieszkania. Gdyby się zaś to udało, kto wie, nie, nawet z całą pewnością można było twierdzić, że zeznania jej rozproszą ciemności i tajemnicę okrywającą morderstwo.

— Ej, ej... wiadomości te nie są zbyt dokładne! — rzekł inspektor sam do siebie.

Ale mimo to w umyśle inspektora policyi obudziły one zaciekawienie. Nie podawały wprawdzie rozwiązania sprawy, ale bądź co bądź dawały nowy kierunek dla myśli. Dziennikarz kończył swój artykuł kilkoma szczegółami o Jakóbie Dantinie, serdecznym, jedynym przyjacielu Ludwika, Piotra Rowera, o którego aresztowaniu nie wiedział jeszcze.

— Jutro — mruknął Bernadet — poda nam naturalnie wyczerpujący życiorys Dantina. W tem sprawozdaniu, które mam w tej chwili przed sobą, nie powiedział mi nic nowego... nic... a jednak...

Złożył gazetę i pijąc powoli, małymi łykami jałowcową wódkę, myślał o kobiecie, przychodzącej w odwiedziny do zmarłego w żałobnym stroju, zastanawiał się, czy nie należałoby pójść tym tropem. Postanowił wreszcie udać się do państwa Moniszów, wypytać ich oboje o szczegóły, a potem śledzić dalej.

— Ale poco? — zapytał się nagle. — Wszak mamy w rękach winnego; możnaby stawić w zakład sto przeciw jednemu, że on był mordercą. Kobieta ta mogła była być jego wspólniczką.

I Bernadet zatarł wesoło ręce, zadowolony w duszy z tego, że umiał wywalczyć swą myśl i wobec pana Ginory i wobec lekarzy, że umiał nakłonić ich do przeprowadzenia próby.

Gdyby mały Bernadet znał uczucie pychy, teraz czułby się zwycięzcą. Przecież prawdę mówiąc, poprowadził wiedzę o jeden krok dalej. — Tak jest, on, biedny inspektor policyi. Miał silną wiarę i zmusił innych, że uznali możliwość dawniej zapoznaną, wyśmiewaną. Wydobył z grobu na światło dzienne tajemnicę zmarłego. On to uczynił.

Bernadet nie wątpił ani na chwilę w rzeczywistość tego, co znalazł w oczach zmarłego. To oko nie było dla niego niczem innem, jak zwierciadłem zemsty. To oko oskarżało i przygniatało zbrodniarza. Jakób Dantin ukazywał się w niem z całem okrucieństwem swej zbrodniczej istoty.

— Kiedy pomyślę o tem, kiedy pomyślę o tem — powtórzył — że nie chcieli przedsięwziąć tej próby! Ale teraz już się stało! Teraz udało się, przekonałem niewiernych.

Ginory zarządził bardzo surowo, aby z tej części śledztwa nic uie przedostało się do wiadomości publicznej. Z rozkazu jego cała próba była okrytą najgłębszą tajemnicą i milczeniem.

Gdyby gazety dowiedziały się o tem, doświadczenie, przedsięwzięte przez sędziego śledczego, dałoby kronikarzom paryskim żer obfity. Ileż atramentu popłynęłoby w obronie krwi Rowera. Zgodzono się jednomyślnie na to, że gdy winny przyzna się wreszcie do zbrodniczego czynu, wtedy ten środek dziwny, osobliwy, naukowo nie budzący wiary, zostanie ogłoszony publicznie z nadmienieniem, że on właśnie spowodował zeznania. Ale aż do tej chwili miało panować milczenie o sprawie.

Ale czy Dantin się przyzna?

Następnego dnia po zaaresztowaniu go, Bernadet udał się do gmachu sądowego, aby się dowiedzieć nowinek. Chciał także zapytać swego przełożonego, co sądzi o tajemniczej kobiecie. Naczelnik policyi nie przywiązywał żadnej wagi do szczegółów, podanych przez pismo.

— Wiadomości gazeciarskie. Bardzo niepewne. Przecież w życiu każdego człowieka odgrywa zawsze rolę jakaś kobieta. Ale czy ta kobieta zna Dantina, a on ją?

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Powiem wom cosik ciekawego.

W tamtą niedzielę byłem pirsy roz w kościele tego roku. Jegomość wyleźli na kozanicę i zacęli godać takie śmisne rzecy, jak to Pon Jezus wymurowoł chłopa z gliny i jak z niego wyjął potem babę. Akuratnie tego chłopa taksamo jegomość nachrzcili jak fornola ze dwora: Hadom. A babie było taksamo na zawołanie, jak dziwce od Matusa: Jewka.

Jak ta Pon Jezus mógł wymyślić takie same imienia, jak u nos we wsi?

Potem jegomość godali, ze Pon Jezus boł się, coby Hadom bardzo się nie wypas i nie kazał mu jeść jabłek, ale Hadom wolol usłuchać baby nie Pana Jezusa i zjodł jabko.

O już to bida, jak chłop baby słucho! Baba ma pilnować garcków, strugać zimnioki, a nie misać się do polityki.

Ja, jagby mi ta Pon Jezus pedzioł: „Nie chlaj Maciek spyrki!“ —tobym nie jod, bo gdzieby mi ta gospodyni dali. Jakby Pon Jezus pedział: „Nie pij Maciek gorzołki! —to bym nie pił, bo ni mam za co.

Ale Hadom nie chcioł słuchać Pana Jezusa, to go tez siandar wygnoł rozpoloną siablą do Ameryki. Dobrze mu tak, kiej baby usłuchoł, a nie Pana Jezusa.

Z babami to zawsze tak, jak ty z nią delikatnie, jak ją ino lekuśko bicyskiem przeciągnies, to ona będzie lamentować i kumedyje pokazywać, ale jak ją dobrze spierzes, to zaraz zmięknie i będzie naprawdę dobra.

Zeby się był Hadom mnie poradził, tobym był kazoł babę zbić porządnie, a Pana Jezusa słuchać.

Człowiek zrobił się, jak podkulek, krzywy z tego postu, a tu gospodyni pedają, ze go jesce ani połowa nie zesła. A już chyba z drugą połową to się zmieni całkiem w kółko.

Ale przecie i post dobry, bo z cegoby zyli olejorze, cebulorze i inni aptykorze, jakby postu nie było? A rzeźniki po miastach, toby się tak spanosyli, zeby nawet przed figurą capki nie zdjęli.

La mnie, to post dobry, bo choć mało jem, gdyz mi gospodyni nie dadzą, ale za to duzo słuchom, jak gospodorz cytają gazety i robie się coroz mądrzejsy.

Juz teroz na przykłod wiem, ze pisorz i wójt to prawie jedno, ino ze pisorzowi mówi sie: panie pisorzu, a wójtowi po prostu: wójcie.

Wójt jednak i pisorz to obie wielkie figury, ino jest chyba ta różnica, ze wójt zawse słucho pisorza, a pon pisorz wójta ino wtedy, jak mu wójt śnapsa zapłacą, albo piwem pocęstują.

Ale o tem kiedy indzi, a teraz: Scęśliwej drogi do drugi niedziele.

KRONIKA.

Sejm krajowy, po pożegnaniu posłów przez marszałka i okrzyku wzniesionego na cześć cesarza, został odroczony. Poseł Gorayjski podziękował p. marszałkowi za umiejętne prowadzenie obrad, wskutek czego uchwalono różne sprawy, mimo obstrukcyi Rusinów. Nadto dziękował ten sam poseł p. namiestnikowi, że był nietylko namiestnikiem, ale i posłem i pracował wspólnie ze Sejmem.

Komisya włości rentowych. Niedawne to czasy więc pamiętamy je dobrze, gdy Sejm krajowy uchwalił ustawę o włościach rentowych, szli rozmaici burzyciele między lud i krzyczeli, że będą one największem nieszczęściem dla tego ludu. Cóż jednak okazało się w krótkim czasie? Oto ten lud prędko pojął dobrodziejstwa płynące z ustaw o włościach rentowych i tworzy licznie a szybko gospodarstwa rentowe. W ubiegłym roku, (sprawozdanie komisyi włości rentowych obejmuje czas od września 1908 r. do 31 sierpnia 1909 r.) udzielono pożyczek 123 na kwotę 1,138.300 kor. Do komisyi włości rentowych zgłaszają się przeważnie gospodarze, będący w bardzo ciężkiem położeniu, upadający pod brzemieniem długów, którzy, uzyskawszy pożyczkę rentową, wydobywają się ze szpon lichwiarskich i jaśniej mogą spoglądać w przyszłość.

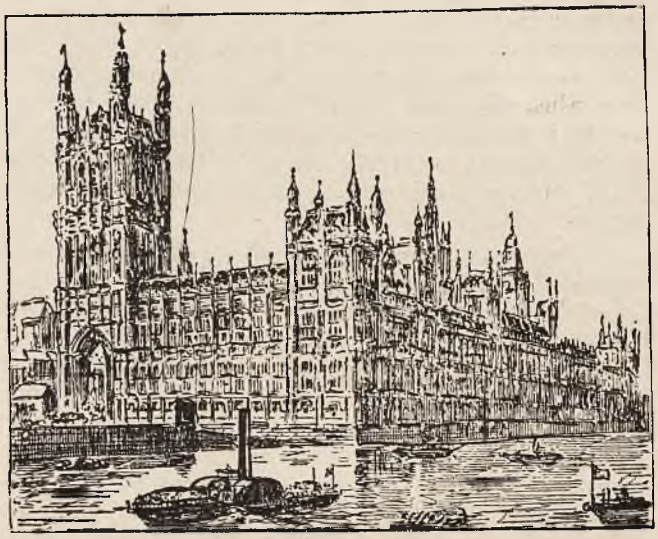
Dar papieża dla Częstochowy. Ojciec święty, dowiedziawszy się o niecnej kradzieży w kościele Jasnogórskim w Częstochowie, obiecał przesłać dla Matki Boskiej Częstochowskiej koronę ze złota i dyamentów. Jak obecnie donoszą, korona ta już jest gotowa, a wartość jej sto tysięcy franków. Korona doręczona będzie niebawem dla przewiezienia do Częstochowy delegatom mianowanym i przysłanym do Rzymu, ks. Zdzitowieckiemu, oraz generałowi ks. Paulinów, O. Rejmanowi.

Fryderyk Szopen. W dniu 22 marca upłynęło 100 lat od urodzenia Frzderyka Szopena (pisze się Chopina), najznakomitszego muzyka polskiego, a jednego z kilku najznakomitszych wogóle. Jest on znany wszystkim ludziom na całej ziemi, jak znanym jest z Polaków Mikołaj Kopernik, król Jan III. Sobieski i Tadeusz Kościuszko. Napisał bardzo wiele dzieł muzycznych, głównie na fortepian, a wszystkie prawie obrobione są prześlicznie z piosenek i tańców ludu polskiego na Mazowszu. Szopen urodził się w r. 1810 w Żelazowej Woli pod Warszawą, umarł w r. 1840 w Paryżu, gdzie jest pochowany.

Minister Schreiner w Wiedniu ustąpił ze swej posady. Jego osoba była główną przeszkodą w rokowaniach o przebieg prac parlamentarnych, gdyż Czesi zarzucali, że nie jest sprawiedliwością i równouprawnieniem, jeśli Niemcy mają ministra rodaka, a Czesi nie. Prezydent gabinetu Bienert uznał to za słuszne i skłonił ministra Schreinera do ustąpienia. Teraz zaczną się nowe rokowania o zgodę. Dużo one już czasu, trudu i pieniędzy kosztują te spory czesko-niemieckie!

Na Węgrzech nowe stronnictwo, nazwane „narodową partyą pracy" zyskuje coraz więcej zwolenników. Prezydent gabinetu hr. Khuen-Hedervary, stworzywszy to stronnictwo, na którem się chce oprzeć, przystąpi obecnie do mianowania nowych ministrów, a potem do reformy wyborczej. Węgrzy zaczynają poznawać, że krzykiem i hałasami nie można podnieść dobrobytu kraju, ale trzeba do tego pracy spokojnej i wytrwałej.

Parlament angielski Już się zebrał i ze zwykłą uroczystością został otwarty. Przy ostatnich wyborach konserwatyści odnieśli ogromne zwycięstwo, ponieważ mają teraz prawie trzy razy tyle posłów, co w poprzedniej sesyi. Jednakowoż jest ich za mało, aby mogli tworzyć własną większość w parlamencie i obalić gabinet liberalny. Dlatego gabinet Asquita zostaje na razie przy władzy, ale nie na długo, gdyż wzmożeni na siłach konserwatyści przy każdej sposobności będą się starali zmusić go do ustąpienia. Aby się uwolnić od tej opozycyi, będzie musiał rozwiązać znowu parlament i przeprowadzić nowe wybory. Odbędą się one zapewne w czerwcu.



Parlament angielski posiada ze wszystkich na całym świecie najwspanialszy pałac. Nazywa się on Westminster, a położony jest nad rzeką Tamizą, w samym środku miasta. Podany tu obrazek przedstawia widok Westminsteru od strony rzeki. Z tej strony ma pałac 270 metrów długości. Jest to nie pałac właściwie, ale kilkadziesiąt pałaców, razem połączonych. Tylko Watykan Ojca św. jest od niego większy i wspanialszy. Westminster mieści się na przestrzeni 7 morgów. Oprócz dwóch wielkich sal do obrad, dla Izby gmin (niższej) i Izby lordów (wyższej) jest tu 1100 salonów i pokójów, kilka kilometrów szerokich korytarzy, 11 ogromnych podworców we środku. Ściany pokojów powykładane są cennemi marmurami, poobwieszane obrazami starożytnymi i kobiercami. Przez setki lat lud angielski zdobił wspaniale przybytek swoich praw politycznych, ten najstarszy parlament na świecie.

Gdyby jeszcze istniał Sejm polski, także moglibyśmy się chlubić, że wyprzedziliśmy inne narody, bo nasza konstytucya polska, która zaczęła się tworzyć w wieku XVI, była doskonalszą od innych, a Konstytucya ostatnia, Trzeciego Maja 1791, była najlepszą ze wszystkich jakie istniały podówczas w Europie.

Minister Dulęba w Krakowie. Dnia 22 b. m. przybył do Krakowa minister Dulęba, aby się porozumieć z posłami i różnymi innymi osobami co do potrzeb ekonomicznych Krakowa. Wieczorem przyjmowano ministra w sali starego teatru, gdzie posłowie rozmaitych stronnictw wygłaszali mowy zachęcające do spokojnej i solidarnej pracy. Zgodne działanie bowiem wszystkich warstw społeczeństwa najprędzej przyczyni się do ekonomicznego i kulturalnego podniesienia kraju.

Chińczycy na wędrówce. Bieda, to władczyni całego świata. Rzuca ona ludźmi, jak piłkami z jednych krańców ziemi na drugie. Bieda pędzi rodaków naszych do Prus i Ameryki za zarobkami na niepewne losy i trudy, a czasem i na śmierć. Ta sama bieda przypędziła do Krakowa ośmioro Chińczyków, gdzie ich policya zaaresztowała i osadziła tymczasowo w więzieniu, gdyż w Krakowie trudnili się żebractwem. — Obecnie policya chce ich odesłać do którejkolwiek granicy. Jak słychać jeden z większych rolników w powiecie krakowskim chce ich zatrzymać u siebie i dać im zarobek przy robotach polnych.

Konferencya słowiańska w Petersburgu. Przed kilku laty odbył się zjazd Słowian w Pradze, którzy zgromadzili się tam, aby radzić nad połączeniem się duchowem wszystkich Słowian. W tych obradach wzięli udział reprezentanci wszystkich narodów słowiańskich. Byli tam i Polacy, a ci powiedzieli tak: Bardzo to ładnie mówić o braterstwie słowiańskiem, ale nie mówicie o tem Polakom, gdy jeden z „braci“, Rosyanin, uciska drugiego i gnębi od stu lat. Niech najpierw Rosyanie nie prześladują Polaków, ich wiary, języka, zwyczajów i ziemi, a wtedy będzie mowa o zbrataniu. Słuszność tego uznali wszyscy obecni rosyjccy politycy i obiecali wpływać na rząd rosyjski, aby zmienił swą politykę wobec Polaków. Postanowiono zjechać się za parę lat i uchwalić, jakimi sposobami przeprowadzić to zbratanie.

Umówiona ta konferencya odbyła się właśnie przed tygodniem w Petersburgu i trwała kilka dni. I cóż się okazało? Oto, że mimo obietnic, polityka rosyjska dla Polaków wcale się nie zmieniła na lepsze, ba w ostatnim roku jeszcze się pogorszyła. Zatem reprezentanci polscy powiedzieli znowu, że, skoro Rosya Polaków krzywdzi, to Polacy nie mogą brać udziału we wspólnej z nimi pracy i nie przybędzie nikt na wielki Zjazd słowiański w Zofii (w Bułgaryi) który ma się odbyć z okazyi wystawy. Wtedy Dr. Kramarz, Czech, który najbardziej krząta się około urządzania tych zjazdów, prosił Polaków, aby nie cofali się odrazu, ale podali warunki, jakie muszą być spełnione, by Polacy nie usuwali się od pracy z Rosyanami. W tym celu konferencya wybrała komisyę polsko-rosyjską która słuszne żądania polskie ma rozpatrzeć i wezwać rząd rosyjski i Dumę, aby Polakom oddali to, co im się należy.

Bardzo można wątpić, czy ta komisya przyniesie jaki pożytek.

Podarunki morza. Po każdej burzy morskiej morze zaczyna wyrzucać na brzeg różne przedmioty. Są to resztki z potrzaskanych przez wicher i bałwany wodne łodzi i okrętów. Ludność nadbrzeżna wyławia te przedmioty i chowa, nazywając podarunkami morza. Niejeden pobożniejszy, pomyśli że podczas burzy bliźni jego utracił może życie i zmówi „Wieczny odpoczynek“ za nieznajomego.



Po wielkiej katastrofie okrętowej, gdy na dno pójdzie wielki statek, morze wyrzuca bardzo hojnie podarunki. Tak było po katastrofie okrętu francuskiego „Jenerał Chanzy“, o którym pisaliśmy w numerze poprzednim. Morze miotało na brzeg przez cały tydzień bale, sprzęty, paki z towarami i żywnością. Nierzadko wypływał i trup ludzki. Rybacy z łodzi i z lądu wydobywali zwłoki i odnosili na cmentarze, a przedmioty przyciągali osękami i przyjmowali jako dary morza. Tak to w życiu bywa! Co dla jednych nieszczęściem, to dla drugich dobrem.

Jaja po dziesięć koron. W jednem z miasteczek galicyjskich zdarzył się niedawno podczas jarmarku niebywały wypadek, o którym pisały gazety lwowskie. Do gospodyń, które siedziały sprzedając jaja, zbliżył się jakiś jegomość dostatnio ubrany, pytając, po czemu jaja?

— Po ośm halerzy — odpowiedziała najbliższa.

— To bardzo tanio — zauważył nieznajomy — proszę trzy jaja.

Gospodyni, zdziwiona, że kupujący zamiast targować się chwali że tanio, wręczyła mu towar i odebrała pieniądze. Ale nieznajomy tak niezręcznie wziął od niej jaja, że jedno stłukło się. Jakie było zdziwienie gospodyni, gdy z żółtka wypadła nowiusieńka, błyszcząca dziesięciokoronówka!



— Mówiłem, wam, że takie jaja za tanio sprzedawać po ośm halerzy! — dodał nieznajomy i stłukł już umyślnie drugie. Ze środka znów wypadło dziesięć koron. W trzeciem znalazła się takasama moneta, którą kupujący wyjął w oczach wszystkich z żółtka i oczyściwszy, schował do kieszeni. Następnie wziął jeszcze trzy jaja z tego samego kosza i z każdego po stłuczeniu wydobył złote dziesięć koron. Dokoła utworzył się tłum, nieznajomy oddalił się, pobrzękując złotem tak niezwykle zdobytem.

Zaledwie odwrócił się, gospodyni nie wierząc własnym oczom rzuciła się na kosz z jajami i zaczęła tłuc jedno po drugiem. Gromada ludzi wyciągała szyje, aby zobaczyć złoto. Stłukła jedno — nic. Drugie — wypłynęło białko i żółtko, lecz złota ani śladu. Trzecie okazało się zepsute, co wywołało śmiech pośród zebranych. Czwarte, piąte i dziesiąte również nie zawierało niczego, prócz białka i żółtka. Tłum wybuchał coraz gwałtowniejszym śmiechem, zaperzona kobiecina tłukła coraz zapalczywiej, póki nie zjawił się z powrotem nieznajomy. Oświadczył on, że choćby potłukła wszystkie jaja, nie znajdzie w nich ani halerza, gdyż i w tamtych złota nie było. Wydobycie dziesięciokoronówek ze skorupy było sztuką „magiczną“, nieznajomy zaś przedstawił się jako podróżujący magik, nazwiskiem Balthazar, który będzie dawał tego dnia przedstawienie w miasteczku. Naturalnie sala była przepełniona, każdy chciał zobaczyć człowieka, który wyciąga dziesiątki z jajek, zwłaszcza że gospodyni za potłuczony przez nią towar chętnie zapłacił.

Magik jest to człowiek, który nauczył się różnych sztuk i wykonuje je tak zręcznie, iż nikt nie zauważy podstępu. Magicy umieją w ten sposób łapać dwukoronówki z powietrza, wydobywać z ust długie kije, połykać noże i ogień, tłuc zegarki w moździerzu i na nowo je składać. Wszystko to są sztuki polegające na zręcznem ukrywaniu przedmiotów i wydobywaniu ich napowrót tak, aby nikt się nie spostrzegł. Magicy urządzają częste przedstawienia po miastach i mają zawsze licznych widzów, którzy pragną spędzić parę godzin na zabawnych złudzeniach.

Morderstwo polityczne. W Kairze, w stolicy Egiptu, zamordował anarchista przed trzema dniami prezydenta ministrów Butrosa. Anarchiści, jak wiadomo, są to ludzie nieprzytomni, prawie szaleni, którzy twierdzą, że im więcej ludzi wymordują, tem prędzej będzie lepiej na świecie. Im zdaje się, że mordując rozmaite osoby, stojące na wysokich stanowiskach, usuną wszelką władzę, a tymczasem gdy zamordują jednego, drugi dochodzi do niej i wszystko idzie dawnym trybem.

Ot głupota ludzka i tyle.

Pies wybawcą. Wicher wiał szalony i unosił tumany śniegu w powietrzu, gdy mały Józiu Skrobak w Zasłowicach, na Podolu, wyszedł z domu do szkoły. Mróz i wiatr dokuczały chłopcu okrutnie, gdyż za całe ubranie miał tylko dużą chustkę na sobie. Chłopiec to ręce zacierał, to nogami przytupywał, aby się choć trochę rozgrzać, ale daremnie. Chwilami usiadał przy drodze, aby po małej przerwie znów biedz dalej. A droga była daleka!

Nagle zobaczył na polu stóg słomy.

— Skryję się trochę w słomę, pomyślał chłopiec, — zawsze tam cieplej niż w polu. Ogrzeję się może, a do szkoły jeszcze zdążę.

Jak pomyślał tak i zrobił. Skulił się pod stogiem, i to dmuchał w ręce, to w słomę je zasuwał. Robiło się mu trochę cieplej, ale oczy coraz bardziej się przymykały.

— Gdybym tak był bogaty — myślał chłopiec — tobym sobie kupił kożuch, ale taki, żeby mi ręce, nogi i głowę przykrywał. Ej, nietylko sobie bym kupił, ale wszystkim chłopakom w szkole, bo poco mają marznąć biedacy?...



Wtem na chwilę otworzył oczy i jeszcze zimniej zrobiło mu się na całem ciele, zobaczył bowiem psa biegnącego wprost na niego. Zerwał się co prędzej i, ile tylko sił miał w nogach popędził naprzód. Zdawało mu się, że pies był wściekły i chciał go ugryźć. O zimnie nawet zapomniał i, jak nieprzytomny, wpadł do szkoły.

— Co ci jest? — zapytał nauczyciel, a chłopiec opowiedział całe zdarzenie.

— Dziękuj Bogu, — rzekł nauczyciel, — że cię ten pies wypłoszył, gdyż byłbyś zmarzł tam pod stogiem.

Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Jako nowy dowód prawdziwości tego twierdzenia można przytoczyć ostatnie wybory do rady miejskiej miasta Gliwice, na Górnym Śląsku, liczącego 60.000 mieszkańców. Po raz pierwszy został tam wybrany radnym kandydat polski dr. Wolny. Zwycięstwo to osiągnięto wyłącznie własnemi polskiemi siłami, a przeciwko Niemcom. Osiągnięto je zaś dlatego, że wszyscy Polacy, jak dzieci jednej matki, szli zgodnie bez kłótni i waśni wzajemnych. Obyśmy i my kiedyś zrozumieli, że tylko w zgodnej pracy i wzajemnej miłości możemy się doczekać jaśniejszej przyszłości!

Dziewczęta w płomieniach. Już kawał postu upłynęło, a jeszcze ciągle dochodzą smutne wiadomości o wypadkach zaszłych w czasie ubiegłego karnawału. W ostatni wtorek zapust wydarzył się w Lizbonie, stolicy Portugalii, tragiczny wypadek. Na jednym z wozów, ubranych papierem i watą, jako krajobraz zimowy, jechało trzynaście młodych dziewcząt.



Nagle wóz stanął w płomieniach. Mimo, że przechodnie natychmiast pospieszyli z pomocą, wszystkie dziewczęta odniosły ciężkie rany z poparzenia. Jak opowiadają, wóz został podpalony przez jednego młodzieńca, który chciał się pomścić na jednej z dziewcząt za odrzucenie jego oświadczyn. Taka głupia zemsta była jednak najlepszym dowodem, że dziewczyna owa dobrze zrobiła, nie chcąc za męża takiego lekkomyślnika.

Konstytucya Bośni i Hercegowiny. Przed rokiem pismo odręczne cesarskie, przyłączające Bośnię i Hercegowinę do Austro-Węgier, zapowiadało, że niezadługo ogłoszona będzie konstytucya dla tych krajów. Rząd austro-węgierski dotrzymał słowa i w niedzielę ubiegłą ogłoszona została ustawa konstytucyjna. Odtąd rządzić będzie krajem osobny minister, a ustawy uchwalać będzie Sejm, złożony z posłów wybieralnych w trzech kuryach, z których dwie mają powszechne prawo głosowania. Do porady ministra dodana jest Rada krajowa, złożona z 9 członków wybranych przez sejm. Ustawa wyborcza jest tak ułożona, że wszystkie trzy wyznania będą należycie reprezentowane: katolicy, prawosławni i muzułmanie. Obradować będzie Sejm językiem chorwacko-serbskim, bo tym wszyscy mieszkańcy mówią, bez względu na wyznanie.

Dziwne koleje. Ciekawy wypadek zaszedł w jednej z włoskich miejscowości. Policya tamtejsza przyaresztowała 16-letniego chłopca, z powodu włóczęgowstwa. Odprowadzono go do Medyolanu i rozpoczęto badanie. Ale chłopak ów nie umiał powiedzieć ani nazwiska swych rodziców, ani miejscowości urodzenia. Powiedział tylko, że jako czteroletnie dziecko został porwany przez cyganów i z nimi musiał się włóczyć po świecie. Myślano z początku, że to tylko bajki, lecz wkrótce sprawdzono, że przed 12 laty pewnej rodzinie zginęło 4-letnie dziecko bez wieści. Zaprowadzono więc chłopca do tej miejscowości i przekonano się, że on był rzeczywiście owym zaginionym chłopcem. Radość rodziców, którzy znaleźli utracone dziecię po 12-tu latach była ogromna. Dziwne są wyroki boskie!

Dzicy zjedli 42 podróżnych. Z Buenos Aires, stolicy Argentyny, położonej w Ameryce południowej, donoszą do pism francuskich, że w górach na północ od miasta Rio Negro wykryto bandę ludożerców, którzy w ostatnich czterech latach zabili i zjedli 42 podróżnych. W Ameryce dawniej ludożerstwo było bardzo rozpowszechnione — dziś zdarza się rzadziej i to najczęściej na wyspach oceanicznych.

Sanie—samochody. W ubiegłym roku powrócił z wycieczki do bieguna południowego sławny angielski marynarz Shakleton. Do podróży swojej użył sani poruszanych zapomocą motoru.



Pod przednimi kołami były umieszczone sanice, tylne zaś musiały obracać się wśród śniegu. Do samochodu, gdzie siedział Shakleton było przymocowanych kilka sań z żywnością.

Ten szybko jechał. Anglik, nazwiskiem Gahan, człowiek bogaty, bawił w Limie, stolicy republiki amerykańskiej Peru. Nagle otrzymał telegram, że musi przybyć do Londynu i to w ciągu dziewiętnastu dni na posiedzenia dyrektorów kopalń. Podróż z Limy do Londynu trwa trzydzieści dwa dni, a odległość wynosi przeszło siedm tysięcy mil angielskich. Anglik mimo to natychmiast udał się w podróż. W porcie znalazł mały okręt, który zawiózł go do Panamy. Stamtąd osobnym pociągiem, także dobrze zapłaconym, pojechał do Colon po drugiej stronie przesmyku, łączącego Amerykę północną z południową. Przedtem jednak już telegraficznie zamówił okręt, który tu na niego czekał, aby go przewieźć do Nowego Jorku. Ponieważ zaś obawiał się, że okręt płynący z Nowego Jorku do Londynu wyruszy w drogę przed jego przybyciem tamże, więc prosił zapomocą telegrafu bez drutu o zaczekanie. Kapitan okrętu wysłał więc naprzeciw niego nadzwyczajną szybką łódź parową, która go zabrała i dowiozła do owego okrętu. Gahan wsiadłszy na ów okręt pojechał wprost do Londynu, gdzie przybył na oznaczony czas i mógł wziąść udział w posiedzeniu dyrektorów kopalń. Szybka to podróż, ale trzeba mieć do niej dużo pieniędzy!

Skarb znalazł pewien węgierski włościanin w miejscowości Weszpriem na Węgrzech. Kopiąc ziemię na swem podwórzu, wykopał skrzynię, w której było tysiąc sztuk złotych talarów z czasów cesarzowej austryackiej Maryi Teresy.

Życie za kwartę wódki. W szynku Hofmanna w Bielsku zabawiali się w ubiegłą niedzielę wieczór dwaj robotnicy z Białej: Czauderna i Józef Grzybowski. Czauderna chciał, aby mu Grzybowski kupił kwartę wódki, lecz ten na to się nie zgodził. Poczęli się więc obydwaj kłócić, a szynkarz wyrzucił kłócących się z izby na pole.

Czauderna i tu nie zaprzestał kłótni, ale co gorsza wyjął scyzoryk i pchnął nim Grzybowskiego. Skrwawionego wzięto natychmiast do szpitala, ale nieszczęśliwy zmarł w drodze. Czaudernę aresztowano natychmiast i oddano do sądu.

Oj, wódeczko, wódeczko kochana, bodaj cię raz djabli wzięli!

Olbrzym powietrzny. Wielokrotnie pisaliśmy w *Roli* o balonach, zapomocą których odważni ludzie jeżdżą w powietrzu. Obecnie dochodzi nas wiadomość, że profesor gdańskiej szkoły politechnicznej, Schütte, kończy budowę ogromnego balonu. Długość jego wynosić będzie 138 m., grubość w najgrubszym miejscu 17 metrów. Kształtem swym będzie przypominał pałkę. Budowany jest z drzewa. Wewnątrz balonu mieścić się będzie 11 mniejszych balonów, gotowych do wylotu na wypadek nieszczęścia w powietrzu. Za kilka miesięcy nastąpi pierwsza próba wzlotu.

Pocieszne zajście wydarzyło się w pewnej bawarskiej wsi. Gospodarzowi zachorowała nagle żona. Telefonuje więc o północy do lekarza. (Po wsiach niemieckich są już telefony!) Ale nieszczęście chciało, że urzędnik połączył go z weterynarzem, zamiast z lekarzem, o czem naturalnie gospodarz nie wiedział. Gospodarz opisał chorobę żony, ale ponieważ myślał, że ma sprawę z lekarzem, więc żony nie wymienił. Weterynarz znowu myślał, że mu gospodarz opisuje chorobę świni. Wywiązuje się więc taka rozmowa: Weterynarz pyta:

— Jest tłusta?

— Nie, chuda — odpowiada nasz chłopek.

— A stara?

— Nie, młoda — odpowiada gospodarz.

— To ją zabijcie — odpowiada zaperzony weterynarz, rozgniewany o to, że dla marnego chudego prosiaka przerwano mu smaczny sen.

Gospodarz podobno nigdy jeszcze w życiu tak pociesznej miny nie zrobił, jak wówczas, gdy mu weterynarz dał taką radę. W następnym dniu sprawa się wyjaśniła, ale żona tymczasem wyzdrowiała, może ze strachu, ażeby mąż nie poszedł za radą weterynarza.

Walka słoniów należy do ulubionych i najkosztowniejszych rozrywek ludu na półwyspie Indyj w Azyi. Stary czy młody, ubogi czy bogaty, spieszy i przez kilka godzin z zapartym oddechem przypatruje się jak dwa potwory starają się zwalić jeden drugiego z nóg i poszarpać kłami. W ostatnich czasach rząd angielski stara się przeszkadzać tym widowiskom, ponieważ roznamiętniają, uczą lubować się w rozlewie krwi i utrzymują ludność w stanie barbarzyńskiej dzikości. Całkiem zabronić tego rząd angielski nie może, bo walki słoni należą do najprzyjemniejszych rozrywek książąt indyjskich, tak zwanych maharadżów, którzy setki tysięcy koron wydają na te igraszki krwawe.



Niedawno temu odbyła się taka walka niedaleko głównego miasta indyjskiego Bombaju, z powodu wesela maharadży tamtejszego. Ten pojedynek przedstawiony jest na obrazku naszym. Na każdym słoniu siedzi Indus i prowadzi swojem zwierzęciem, nawołując go i kierując każdym ruchem, pokazując zmyślnemu potworowi słabe miejsca przeciwnika. W głębi placu widać altany, pod któremi siedzą zaproszeni goście a w środku orszak maharadży.

Zagadki do nagrody.

(Nadesłał Michał Niewola z G.).

1. Szarada.

Pierwsze z trzeciem głowy mąci,
Drugie z trzeciem smrodem trąci.
Wszystko bywa na roślinie
A na zimę zwykle ginie.

2. Zagadka.

W lesie rosło liście miało,
Teraz nosi duszę ciało.

3. Łamigłówka.

Z podanych zgłosek utworzyć ośm słów, których początkowe litery dadzą nazwisko króla polskiego: Bro, dyk, dy, e, cha, gród, in, ir, ka, ma, nok, o, pa, rol, sa, sty. — Znaczenie wyrazów: 1. Miasto, 2. Miejsce koło domu, 3. Miasto, 4. Ptak domowy, 5. Miejscowość skąd szli dwaj uczniowie, spotkawszy Pana Jezusa, 6. Zabawa, 7. Imię męskie, 8. Gatunek skóry.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy pięknie oprawną książkę z obrazkami **St. Gębarskiego p. t. „Rycerze św. Kingi"**. Nagrodę wylosować może tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 6 marca. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza l. 32, Redakcya „Roli"**.

* * *

Znaczenie zagadek z nru 7 *Roli:* 1 Szarada: **San-na,** 2. Zagadki: **Koło.**

* * *

P. Karol Baron z P. rozwiązuje zagadki w ten sposób:

Pod Sandomierzem rzeka „San" bieży...
Że to jest pierwsze każdy uwierzy.
Drugie „na" mówię, kiedy coś daję
A wszystko „sanna", tak mi się zdaje.
Nie miał początku „czas",
Końca miał nie będzie
Przeczeka świat i nas,
Skruszy wszystko wszędzie.
To już przecie nie czas
Panie Redaktorze,
Aby ze wszystkich nas.
Drwił ślepy los w worze:
Drwił z panów i chłopów,
Z poetów, wieśniaków
Ściga ich do snopów —
Skrobania ziemniaków.
Co się namozolę,
Zanim to ułożę!
Los lubi swawolę:
Daj mu Pan obrożę!
Niech więc los z nagrodą
I do mnie zawita —
Dam mu świnkę młodą
Kierpce i kopyta.

P. Julian Z. z K. tak rozwiązuje zagadkę:

Choćbyś użył światła świecy,
Choćbyś użył światła słońca
To nie znajdziesz w kole końca.

P. Józef Trembecki z P. rozwiązuje szaradę i zagadkę wierszem. O szaradzie tak pisze:

Przyśli do mnie kum Antoni,
Zwykle, jak to lubią oni,
Zaczęli się wypytywać,
Co tam ze szaradą słychać?
Że to było przy niedzieli,
Więc my sobie gawędzili,
Iż to będzie nie inaczej,
Tylko, że to „sanna" znaczy.

Oprócz powyższych rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Warchał Adam w Z., Władysław Moskal z G., Adela Bezokówna z K., Józefa Hirszberg z K., Michał Dudek z Ż., Jan Babula z W., Ks. Jan Koza z Ź, Władysław Stefański z G., Józef Półtoranos z S., Jędrzej Malinowski z Cz., Kazimierz Szymański z P., T. Konoba z U. Wojciech Bober z H., Kółko rolnicze w Jaśliskach, Jan Cieśla z B., Franciszek Zając z B. W.

Nagrodę przy losowaniu otrzymał p. **W. Bober z H.** Jemu też wysyłamy równocześnie oprawną książkę **Sewera** p. t. **„Bajecznie kolorowa"**.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. P.: A. Czudec w G.: P. Mikołajczykowi wysłaliśmy kalendarz 17 b. m. Za poparcie serdecznie dziękujemy. Przy sposobności prosimy o odwiedzenie nas. — Józef Maniecki w B.: Kalendarz był wysłany 9 lutego b. r., prosimy upomnieć się na poczcie. — Leon Łętowski w S.: Przesłany nam wiersz jest do *Roli* zadługi. Możeby coś krótszego? — Tomasz Miazga w B. K.: Wysyłamy — prosimy o prenumeratę. — Józef Kapuściński w L.: Wiersz p. t. „Wielkanoc" wydrukujemy, ale zagadki znane od lat wielu. — Piotr Lipowiak w L.: Czemu Pan okrywa się tajemnicą, kiedy wierszyki ładne? — Szkoła w Wrząsowicach: Dziękujemy, ale nie. — Władysław Moskal w G.: Zagadki znane. My losem nie kierujemy. — Antoni Gniewek w W.: Wysyłamy. — Karol Baron w P: Nadesłane nam zagadki i wiersz są dobre. Kto dostanie nagrody konkursowe, jeszcze nie wiemy, gdyż mogą nadejść i lepsze wiersze od tych, które już mamy. — F. Zgudniak w K.: Nr. 7 *Roli* wysyłamy powtórnie. — Szymon Opoka w S.: Jak to pisaliśmy w 8 nrze *Roli*, kalendarzy mamy już mało, kto więc chce otrzymać, musi stanowczo pospieszyć się z przesyłką prenumeraty. Jeżeli więc chcecie mieć wspólnie kalendarz, niech choć jeden pospieszy się odwrotuie z przesyłką 4 kor. 30 hal., a Kalendarz wyślemy. *Rolę* posyłać będziemy. — Tomasz Pasierb w S.: Wysyłamy i serdecznie dziękujemy. — Wojciech Sendyk w P.: Jużeśmy tyle numerów okazowych do Waszej gminy wysłali, że łatwo je można oglądnąć. — Stefan Bajda w B.: Numer okazowy wysyłamy, lecz prosimy o prenumeratę. — Michał Dudek w Ż.: Gdy tylko resztę prenumeraty otrzymamy, zaraz Kalendarz wyślemy, gdyż umyślnie go dla Pana schowamy, inaczej nie. — Jan Bratek w W.: Sprawdzimy w Administracyi, a jeżeli tak jest jak Pan twierdzi, Kalendarz natychmiast wyślemy. Niech się Pan nie gniewa, bo przy takim nawale pracy o przeoczenie nie trudno. — Kazimierz Szymański w P.: Szczęście może będzie wkrótce — szczerzebyśmy radzi. Maciek okropnie się ucieszył, że go taki honor spotkał. Wąsy mu może wyrosną, gdy więcej zmądrzeje. Dziękujemy za miłe wiadomości i prosimy o nas nie zapominać. — Szymon Opoka w T.: Kalendarza przed otrzymaniem całorocznej prenumeraty i 30 hal. na posyłkę posłać nie możemy, lecz zachowamy go dla Pana. Jeżeli do tygodnia prenumerata nadejdzie, to go wyślemy. — Jan Mołda w R.: *Rolę* wysyłamy najregularniej, więc prosimy upomnieć się na poczcie. My odniesiemy się do Dyrekcyi poczt we Lwowie, gdyż coś za często giną numera.

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali: Liss Władysław z Z., Koło T. S. L. w Tłustem, Jan Turbak z D., Bartłomiej Nowiński z N., Zwierzchność gminna Trześń, Adam Roczniak z D., Józef Studencki z Ż., Wojciech Bosek z P.

Marcin Wójcik z T. (2 K), Konstanty Jakubik z Z., (2 K). Michał Dudek z Ź. Andrzej Rawica z Ł., Andrzej Werner z Z. Wojciech Stach z K. m., Andrzej Dziak z D., Karol Wojciechowski z Ś., Wojciech Bugała z J. (2 K). M. Koniakowski z P. (2 K), Franciszek Turbak z D. (1 K).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 22 lutego:

Buhaje	Kor.	100	do	154	za sztukę
Woły z paszy	„	200	„	297	„
Krowy	„	120	„	200	„
Jałówki	„	80	„	150	„
Cielęta	„	20	„	60	„
Swinie	„	150	„	172	za 100 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 22 lutego:

Pszenica	Kor.	13·25	do	13·70	za 50 kg.
Żyto	„	9·30	„	9·60	„
Jęczmień	„	7·40	„	7·60	„
Owies	„	7·20	„	7·40	„
Otręby pszenne i żytnie	„	5·60	„	5·70	„

— Nie radziłbym ci kupować tego konia... Musi być zły: nieustannie strzyże uszami.

— O, to rzecz najmniejsza... Gdybym go kupił, kazałbym mu zaraz obciąć uszy.

W SZKOLE.

— Powiedz mi — Smerdyk — jakie zwierze najszybciej biega.

— Pieniądze! — proszę pana profesora.

— Kto jest ten pan, co grał z tobą wczoraj?

— To adwokat.

— Zaraz poznałem.

— Dlaczego?

— Bo dużo gada, a przegrywa.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.